

PIERCE BROWN

**RED
RISING**
ZŁOTA KREW

 **ORACLEUS**
WYDAWNICTWO

Pierce Brown "Red rising. Złota krew" (fragment)

Fahrenheit Crew



Chciałem żyć w pokoju. Ale moi wrogowie rozpętali wojnę.

Patrzę na setki ich najsilniejszych synów i córek słuchających mowy bezlitosnego Złotego, stojącego między wielkimi marmurowymi filarami. Słuchają bestii, która sprowadziła ogień trawiący moje serce.

- Nie wszyscy ludzie zostali stworzeni równi - ogłasza. Wysoki, władczy, ideał człowieka. - Słabi was oszukali. Powiedzieli, że cisi na własność posiadają Ziemię. Że silniejsi będą karmić słabszych. To Najszlachetniejsze Kłamstwo Demokracji. Rak, który zatruwa ludzkość. - Przeszywa wzrokiem zebranych uczniów. - Wy i ja należymy do Złotych. To my stoimy na końcu łańcucha ewolucji. Górujemy ponad resztą, prowadząc niższe rangą Kolory. To dziedzictwo jest w waszych rękach. - Milknie, obserwując twarze zebranych. - Ale nie jest za darmo. Po władzę trzeba sięgnąć. Bogactwo wygrywa. Rządy, panowanie, imperium, to wszystko okupuje się krwią. Wy, nieznające strachu dzieci, nie zasługujecie na nic. Nie wiecie nic o bólu. Nie macie pojęcia, co wasi przodkowie poświęcili, aby zapewnić wam najwyższe miejsce w hierarchii. Wkrótce się tego dowiecie. Wkrótce nauczymy was, dlaczego Złoci rządzą ludzkością. I przysięgam, że ci spośród was, którzy są zdolni sięgnąć po władzę, tylko oni przetrwają.

Ja jednak nie należę do Złotych. Jestem jednym z Czerwonych.

Wydaje mu się, że ludzie tacy jak ja są gorsi. Uważa mnie za głupka, słabeusza, podgatunek człowieka. Nie wychowałem się w pałacach. Nie jeździłem konno po łąkach i nie jadłem wymyślnych dań. Zostałem wykuty w trzewiach tego okrutnego świata. Zahartowany nienawiścią. Wzmocniony miłością.

Ten człowiek nie ma racji.

Żaden z nich nie przetrwa.

CZĘŚĆ PIERWSZA

NIEWOLNIK

Na Marsie rośnie pewien kwiat. Jest czerwony i zahartowany do życia w naszej nieprzyjaznej glebie. Nazywa się haemanthus. To znaczy krwawy kwiat.

Rozdział pierwszy

Helldiver

Pierwsza rzecz, jaką musicie o mnie wiedzieć, to że jestem synem swego ojca. Kiedy po niego przyszli, zrobiłem, co mi kazali. Nie płakałem. Nie zrobiłem tego, gdy telewizja transmitowała moment aresztowania. Ani wtedy, gdy Złoci go skazali. Ani wtedy, gdy Szarzy go powiesili. Matka spoliczkowała mnie za to. To mój brat Kieran miał zachować stoicki spokój. Był starszy. To ja miałem płakać. Zamiast tego Kieran szlochał jak baba, gdy mała Eo wsunęła haemanthus do lewego roboczego buta mojego ojca i uciekła, by stanąć u boku własnego taty. Moja siostra Leanna lamentowała obok mnie. Ja zaś obserwowałem ich i przeszło mi przez myśl, że to wstyd, że umarł, tańcząc bez swoich butów do tańca.

Na Marsie nie ma zbyt wielkiej grawitacji. Żeby skazańcowi złamać kark, trzeba go mocno pociągnąć za nogi. Pozwalają, żeby zajęła się tym najbliższa rodzina.

Czuję swój własny smród wewnątrz skafandra termicznego. To rodzaj jakiegoś nanoplastiku, który jest równie gorący, jak sugeruje jego nazwa. Izoluje mnie od stóp do głów. Nic nie przedostaje się do środka. Nic nie wychodzi na zewnątrz. A zwłaszcza gorąco. Najgorsze jest to, że nie można wytrzeć potu zalewającego oczy. Okropnie piecze, gdy przecieka przez opaskę na czole i zbiera się w kałuży na piętach. Nie wspominając już o smrodzie, kiedy sikasz. Co, oczywiście, zawsze robisz. Trzeba wypić mnóstwo wody przez rurkę. Równie dobrze mogliby zaopatrzyć nas w cewniki, ale my wolimy śmierdzieć. Wiertacze z mojego klanu plotkują przez wspólne łącze w moim uchu, gdy stoję na szczycie świdra. Jestem sam w głębokim tunelu nad maszyną wyglądającą jak olbrzymia metalowa dłoń chwytająca i mieląca ziemię dookoła. Kontroluję jej topiące skały palce z gniazda na wierzchołku świdra, w miejscu, w którym normalnie byłby staw łokciowy. To tam, z dłońmi wsuniętymi w rękawice kontrolujące, poruszające wieloma podobnymi do macek świdrami, siedzę jakieś dziewięćdziesiąt metrów pod swoją półką. Mówią, że jeśli się chce być Helldiverem, palce muszą być równie szybkie co języki ognia. Moje śmigają jeszcze szybciej.

Pomimo głosów jestem sam w tunelu. O mojej egzystencji świadczy wibracja, echo oddechu oraz upał tak gęsty i nieznosny, że czuję się, jakbym pływał w gorących sikach.

Nowy strumyczek potu przecieka ze szkarłatnej opaski zawiązanej na czole i wpada mi do oczu, wypalając je, aż są równie czerwone, jak moje rdzawe włosy. Kiedyś miałem w zwyczaju unosić rękę i próbować zetrzeć pot z czoła, lecz tylko drapałem płytę zabezpieczającą. Nadal mam odruch, aby to zrobić. Nawet po trzech latach łaskotanie i pieczenie potu to czysta udręka.

Ściany tunelu wokół mojego gniazda są skąpane w żółtym, siarkowym świetle padającym z korony reflektorów. Ich zasięg słabnie, gdy zaglądam do wąskiego, pionowego szybu, jaki dziś wyłobiłem. Powyżej błyszczy cenne helium-3 przypominające płynne srebro, ale ja wpatruję się w cienie, rozglądając się za jaskiniowymi żmijami pełzającymi w ciemnościach i szukającymi ciepła bijącego z mojego świdra. Mogą również wgryźć się w skafander, przebić przez osłonę, a potem próbować zagnieździć się w najcieplejszym miejscu, zazwyczaj w brzuchu, żeby złożyć jaja. Zostałem kiedyś ukąszony. Nadal śni mi się ta bestia – czarna, podobna do grubego, wijącego się sznura. Mogą być szerokie jak ludzkie udo i osiągać długość trójki dorosłych mężczyzn, ale to małych trzeba bać się najbardziej. One nie wiedzą, jak dawkować truciznę. Podobnie jak ja, ich przodkowie wywodzili się

z Ziemi, a potem Mars i przepastne tunele zmieniały je na zawsze.

W tunelach jest przerażająco. Samotnie. Nie licząc ryku wiertła, słyszę głosy swoich przyjaciół, samych starszych. Nie widzę ich jednak w ciemności. Drażą wysoko nade mną, w pobliżu ujścia tunelu, który wywierciłem, opadając na linach i hakach, żeby zebrać całą rudę helium-3. Kopia długimi na metr wiertłami, zbierając urobek. Ich praca również wymaga niebywałej zręczności rąk i stóp, ale to ja zarabiam w tej grupie. To ja jestem Helldiverem. Trzeba mieć do tego pewne predyspozycje – a na dodatek jestem najmłodszy w historii.

Pracuję w kopalni od trzech lat. Zaczyna się schodzić do roboty po skończeniu trzynastego roku życia. Wówczas człowiek jest wystarczająco dorosły, żeby pieprzyć. A przynajmniej tak powiedział wujek Narol. Sęk w tym, że ożeniłem się zaledwie sześć miesięcy temu, więc nie mam pojęcia, dlaczego to powiedział.

Eo wiruje w moich myślach, gdy wpatruję się w ekran kontrolny i obejmuję mackami wiertła nową żyłę, topiąc i zdrapując skałę wokół, żeby wydobyć minerał, nie niszcząc go po drodze. Eo. Czasami trudno mi myśleć o niej inaczej niż tak, jak nazywaliśmy ją w dzieciństwie.

Mała Eo – drobniutka dziewczyna, ukryta pod grzywą rudych włosów. Rudych jak otaczające mnie skały, ale nie prawdziwie czerwonych, tylko czerwonych jak rdza. Czerwonych jak nasz dom, jak Mars. Eo również ma szesnaście lat. I choć jest podobna do mnie – wywodzi się z klanu Czerwonych górników, klanu pieśni, tańca i ziemi – równie dobrze mogłaby być z powietrza, z eteru wiążącego gwiazdy w całość. Nie żebym kiedykolwiek widział gwiazdy. Żaden Czerwony z górniczej kolonii nigdy nie widział gwiazd.

Mała Eo. Chcieli wydać ją za męża, gdy skończyła czternaście lat, jak wszystkie dziewczęta. Ona wolała jednak jeść mniejsze racje żywnościowe i poczekać, aż sam skończę szesnaście, zanim wsunęła na palec obrączkę. Wiedziała, że się pobierzemy od czasu, gdy byliśmy dziećmi. Ja nie.

– *Czekaj. Czekaj!* – odzywa się przez wspólne łącze głos wujka Narola. – *Darrow, zatrzymaj się, chłopaku!* – Moje palce zastygają w bezruchu. Jest wysoko nade mną wraz z resztą, obserwując moje postępy na ekranie wmontowanym w hełm.

– Co znowu? – pytam poirytowany. Nie lubię, gdy mi się przeszkadza.

– *Co znowu, pyta mały Helldiver* – chichocze stary Barlow.

– *Pęcherz gazowy, ot co* – warczy Narol. To on zawsze mówi w imieniu naszej całej dwuosobowej załogi. – *Wstrzymaj pracę. Wzywam grupę skanującą, żeby sprawdziła wszystkie dane, zanim wyślesz nas do piekła.*

– Mówisz o tym pęcherzu? Jest malutki – mówię. – Przypomina bardziej pryszcz. Poradzę sobie z nim.

– *Pracuje na świdrze zaledwie rok i już mu się wydaje, że pozjadał wszystkie rozumy, szczył mały* – stwierdza cierpkim tonem stary Barlow. – *Pamiętaj o słowach naszego Złotego przywódcy. Cierpliwość i posłuszeństwo, młody. Cierpliwość to zaleta męstwa. A posłuszeństwo jest zaletą ludzkości. Słuchaj starszego.*

Przewracam oczami, słuchając jego uwag. Gdyby starszyzna mogła dokonać tego, co ja, to może słuchanie ich miałoby jakiś sens. Oni są jednak zbyt spowolnieni fizycznie i umysłowo. Czasami odnoszę wrażenie, że chcą, abym był taki sam. Zwłaszcza mój wujek.

- Ale się wzruszyłem. Jeśli sądzisz, że to pęcherz gazowy, to zeskoczę tam i przeskanuję go ręcznie. To łatwizna. Nie marnujemy czasu.

Wiem, że zaraz będzie kazanie o ostrożności. Jakby ostrożność kiedykolwiek im w czymś pomogła. Nie zdobyliśmy Lauru od wieków.

- *Chcesz, żeby Eo została wdową?* - śmieje się Barlow głosem trzeszczącym od zakłóceń. - *Jak dla mnie to w porządku. Ładna z niej mała. Wwierć się w ten pęcherz i zostaw ją mnie. Może jestem stary i tłusty, ale moje wiertło ciągle daje radę.*

Na górze wybucha śmiechem dwustu wiertaczy. Moje dłonie bieleją na uchwytach kontrolnych.

- *Słuchaj wujka Narola, Darrow. Lepiej się wycofać do czasu, aż dostaniemy skan* - dodaje mój brat Kieran. Jest trzy lata starszy. Wydaje mu się, że został mędrce, że wie więcej. Tak naprawdę wie cokolwiek tylko o ostrożności. - *Będziemy mieli czas.*

- Czas? Cholera, to zajmie wieki - warczę. Wszyscy są przeciwko mnie. Wszyscy są w błędzie i nie rozumieją, że Laur jest o jeden śmiały krok przed nami. Co więcej, wątpię we mnie. - Jesteś tchórzem, Narol.

Na drugim końcu połączenia zapada cisza.

Nazywanie mężczyzny tchórzem to niezbyt dobry sposób, aby zyskać jego poparcie. Nie powinienem tego mówić.

- *Sam zajmij się zrobieniem skanu* - odzywa się skrzekliwym głosem Loran, mój kuzyn i syn Narola. - *A jak nie, to Gamma nie będą się niczym różnić od Złotych - dostaną Laur już chyba setny raz.*

Laur. Dwadzieścia cztery klany w podziemnej górniczej kolonii Lykos, jeden Laur na każdy kwartał. To oznacza więcej pożywienia, niż jesteś w stanie zjeść. Więcej papierosów do wypalenia. Importowane kilty z Ziemi. Piwo ze znakiem jakości Elity. Oznacza wygraną. Klan Gamma miał Laur, odkąd wszyscy pamiętają. Zawsze było tak, że niżej stojące w hierarchii klany dostawały określony przydział, wystarczający zaledwie na przeżycie. Eo mówi, że Laur to marchewka, którą macha nam przed nosem Elita i która zawsze pozostanie poza naszym zasięgiem. Wystarczająco daleko, żebyśmy wiedzieli, jak mało znaczymy i jak niewiele możemy z tym zrobić. Mieliśmy być pionierami. Eo nazywa nas niewolnikami. Ja z kolei myślę, że nigdy się wystarczająco nie staramy. Nigdy nie podejmujemy wielkiego ryzyka z powodu starców.

- *Loran, zamknij się i przestań gadać o Laurze. Darrow, jak trafisz w pęcherz, ominą nas wszystkie cholerne Laury do końca świata* - warczy wujek Narol.

Bełkocze. Prawie czuję smród alkoholu przez łącze. Chce wezwać grupę sensorów, żeby ratować własny tyłek. Albo jest przerażony. Ten pijak od małego sikał ze strachu. Strachu przed czym? Przed naszymi panami, Złotymi? Ich sługusami, Szarymi? Kto wie? Kogo to obchodzi? Tak naprawdę tylko jednemu człowiekowi zależało na moim wujku, ale on umarł w chwili, gdy Narol pociąg-nął go za stopy.

Mój wujek jest słaby. Ostrożny i nie zna umiaru w piciu. To zaledwie blady cień ojca. Mruga powoli i z trudem, jakby oczy bolały go za każdym razem, gdy musi je otwierać i patrzeć na świat. Nie ufam mu na dole, w kopalniach, i nigdzie indziej. Ale moja matka każe mi go słuchać. Zawsze przypomina mi, żebym szanował starszych. Choć jestem żonaty i jestem Helldiverem swojego klanu, matka zawsze powtarza, że moje „pęcherze nie stały się jeszcze nagniotkami”. Jestem posłuszny, choć doprowadza mnie to do szału równie mocno, jak strużka potu płynąca po twarzy.

- Dobra - mamrocę.

Zaciskam pięść wiertła i czekam, aż wujek zgłosi się do mnie z bezpiecznej jamy nad głębokim tunelem. To zajmie wiele godzin. Liczę szybko w głowie. Osiem godzin do momentu sygnału gwizdkiem. Żeby pokonać Gamma, muszę utrzymać wskaźnik sto pięćdziesiąt sześć i pół kilograma na godzinę. Dwie i pół godziny zajmie grupie skanującej dotarcie tutaj i wykonanie roboty. W najlepszym razie. Potem muszę pompować dwieście dwadzieścia siedem i sześć dziesiątych kilo na godzinę. To niemożliwe. Jeżeli będę pracował dalej i zignoruję ten nudny skan, zwycięstwo będzie nasze.

Zastanawiam się, czy wujek Narol i Barlow wiedzą, jak niewiele nam brakuje. Pewnie tak. Tyle że nie sądzą, by cokolwiek było warte takiego ryzyka. Wydaje im się, że jakaś boska interwencja zaprzepaści nasze szanse. Gamma dostanie Laur. Tak było zawsze i zawsze będzie. My z Lambda próbujemy przeżyć na naszych skromnych racjach żywnościowych i marnych wygodach. Żadnego awansu. Żadnego upadku. Nic nie jest warte ryzyka zmiany hierarchii. Mój ojciec odkrył to w drodze na stryczek.

Nic nie jest warte ryzyka śmierci. Na piersi czuję ciężar ślubnej opaski z włosów i jedwabiu, zwisającej ze sznurka oplatającego moją szyję, i myślę o żebrach Eo.

W tym miesiącu na pewno zobaczę więcej kości wystających spod jej skóry. Za moimi plecami pójdzie do rodzin Gamma prosić o resztki. A ja będę udawał, że o niczym nie wiem. Ale nadal będziemy głodni. Jem dużo, bo mam szesnaście lat i nadal rosnę. Eo kłamie i mówi, że nigdy nie ma wielkiego apetytu. Niektóre kobiety sprzedają się za jedzenie i towary luksusowe Blaszakom (a konkretnie rzecz ujmując, Szarym), wojskowemu garnizonowi Elity naszej niewielkiej kolonii. Eo nie sprzedaby swojego ciała, żeby mnie nakarmić, prawda? Choć z drugiej strony, ja zrobiłbym wszystko, żeby miała wystarczająco dużo jedzenia...

Spoglądam ponad krawędź wiertła. Upadek na dno szybu byłby długi i bolesny. Nie ma tam nic prócz płynnych skał i syku wiertła. Zanim jednak orientuję się, co robię, odpinam pasy, chwytam skaner w dłoń i zeskakuję dwieście metrów w dół, ku palcom wiertła. Odbijam się między ścianami szybu a podłużnym, wibrującym korpusem wiertła, żeby spowolnić upadek. Upewniam się, że nie jestem w pobliżu gniazd jaskiniowych żmij, gdy wyciągam rękę i zaciskam ją na kole zębatym tuż nad mackami świdra. Wtedy jego odnóża zaczynają błyszczeć z gorąca. Powietrze migocze i faluje. Czuję żar na twarzy, kłuje mnie w oczy, brzuch i jaja. Te wiertła mogą stopić kości, jeśli nie jest się ostrożnym. A ja nie jestem ostrożny. Tylko zwinny.

Opuszczam się powoli, wkładając stopy między wiertła tak, że mogę umieścić skaner wystarczająco blisko pęcherza gazowego i zrobić odczyt. Gorąco jest nieznośne, a nagrzanym powietrzem praktycznie nie da się oddychać. To był błąd. Słyszę wrzask przez łącze. Prawie dotykam jednego z wiertła, gdy w końcu udaje mi się przysunąć do pęcherza. Skaner mruga w mojej dłoni i robi odczyt. Mój skafander zaczyna wrzeć, a ja czuję zapach czegoś słodkiego i ostrego, jak przypalony syrop. Dla Helldivera to zapach śmierci.

Rozdział drugi

Osiedle

Mój skafander nie radzi sobie z temperaturą panującą na dole. Zewnętrzna warstwa prawie się stopiła. Wkrótce zejdzie następna. Chwilę później skaner mruga na srebrno i mam już to, po co przyszedłem. Prawie tego nie zauważam. Oszołomiony i przestraszony, odsuwam się od wiertła. Podciągam się w górę na rękach, uciekając od potwornego gorąca. Wtedy zawadzam o coś nogą.

Okazuje się, że moja stopa utknęła tuż pod kołem zębatym, blisko świdra. Wciągam gwałtownie powietrze w przyływie paniki. Ogarnia mnie strach. Na własne oczy widzę, jak topi się podeszwa mojego buta. Pierwsza warstwa schodzi. Druga zaczyna bulgotać. Następna w kolejce jest moja skóra.

Zmuszam się do zaczerpnięcia powietrza i tłumię narastający w gardle krzyk. Przypominam sobie o istnieniu ostrza. Z tylnej osłony pasa na broń wyciągam nóż. To wrednie wyglądający obcinak długi jak moja noga, zaprojektowany do odcinania i przyżegania kończyn, które zaplątały się w maszynię, zupełnie jak moja. Większość mężczyzn panikuje, gdy wpadnie w jakąś dziurę, więc ostrze ma kształt półksiężyca i posłużyć się nim mogą nawet niezdarne ręce. Tnę trzy razy, rozcinając nanoplastik zamiast ciała. Przy trzecim zamachu udaje mi się uwolnić stopę. Gdy to robię, ocieram się dłonią o krawędź wiertła. Przeszywający ból. Czuję smród palonego ciała, ale udaje mi się podciągnąć, uciec jak najdalej od piekielnego gorąca, wspiąć z powrotem do swojej kabiny i śmiać się przez całą drogę. Tak naprawdę czuję, jakbym miał się zaraz rozpłakać.

Mój wujek miał rację. Myliłem się. Ale prędzej szlag mnie trafi, niż dam mu satysfakcję.

- *Idiota* - oto jego najłagodniejszy komentarz.

- *Wariat! Cholerny wariat!* - drze się Loran.

- Niegroźny gaz - mówię. - Można wiercić.

Biorę się do pracy i nie przerywam aż do chwili, gdy słychać gwizd. Wysuwam się z kabiny, pozostawiając ją w tunelu na czas nocnej zmiany, i chwytam linę, którą inni spuścili w dół kilometrowego szybu, żeby wyciągnąć mnie na wierzch. Pomimo oparzenia na grzbiecie dłoni szybko posuwam się w górę, aż w końcu wyłażę na zewnątrz. Kieran i Loran idą ze mną, żeby dołączyć do pozostałych przy najbliższej windzie, kilometr wzdłuż odwiertów ogromnej, nowej kopalni. Żółte światła dyndają z sufitu jak pająki.

Mój klan oraz trzystu ludzi z klanu Gamma stoją już pod metalową barierką, gdy docieramy do prostokątnej windy grawitacyjnej. Unikam wuja - jest na mnie wystarczająco wściekły - a ludzie klepią mnie po plecach z uznaniem za mój wyczyn. Młodzi, tacy jak ja, myślą, że zdobyliśmy Laur. Znają mój miesięczny wskaźnik wydobywania surowego helium-3. Jest lepszy niż ten, który mają Gamma. Stare pierniki ograniczają się do zrzędzenia i narzekania, że jesteśmy głupcami. Chowam rękę i stoję razem z innymi.

Grawitacja się zmienia, a my wystrzelujemy w górę. Jakiś Gamma z co najmniej tygodniowym brudem za paznokciami zapomniał wsadzić stopy pod barierkę. Wisi więc w powietrzu, gdy winda pruje pionowo sześć kilometrów. W uszach aż strzela.

- *Mamy tu fruwającego Gammę* - śmieje się Barlow do pozostałych Lambd.

I choć to tylko drobiazg, zawsze fajnie widzieć, jak Gammom coś nie wychodzi. Dostają więcej jedzenia, więcej papierosów, więcej wszystkiego z powodu Lauru. Przywykliśmy ich nienawidzić. Ciekawe, czy teraz oni będą nienawidzić nas.

Ale dość tego. Chwytam za pokryty rdzą, czerwony skafander nieostrożnego dzieciaka i ściągam go na dół. Dzieciak. Śmiechu warte. Jest ledwie trzy lata młodszy ode mnie. I śmiertelnie zmęczony, ale kiedy dostrzega mój zakrwawiony strój, sztywnieje, unika mojego wzroku i jest jedynym, który widzi poparzenie na dłoni. Mrugam do niego i wydaje mi się, że właśnie narobił w skafander. Wszystkim się to zdarza. Pamiętam, jak spotkałem swojego pierwszego Helldivera. Uważałem go za boga.

Teraz nie żyje.

W hali, wielkiej szarej jaskini z betonu i metalu, ściągamy hełmy i wciągamy do płuc świeże, zimne powietrze świata, w którym nie ma wiertel. Nasz zbiorowy smród i pot wkrótce sprawią, że będzie tu jechać jak w kiblu. Światła migają w oddali, każąc nam trzymać się z dala od magnetycznych torów pociągu po drugiej stronie jaskini.

Nie mieszam się z Gammami, gdy stajemy w kolejce rdzawoczerwonych skafandrów. Połowa Lambd ze znakiem L, połowa Gamm z rysunkiem trzciny na ciemnoczerwonym tle na plecach. Dwójka szkarłatnych dowódców. Dwóch czerwonych jak krew Helldiverów.

Oddział Blaszków przygląda nam się bacznie, gdy posuwamy się powoli po wytartej betonowej podłodze. Ich szare, wytrzymałe zbroje są proste i znoszone, równie niechlujne, jak ich włosy. Powstrzymałyby cios zwykłego noża, ale już nie jonowego, a elektryczne ostrze i kosa wbiłyby się w pancerz jak w masło. Ale takie rzeczy widzieliśmy tylko na hologramach. Szarzy nie silą się na pokaz władzy. Pałki zwisają im po bokach. Wiedzą, że wcale nie muszą ich wyciągać.

Posłuszeństwo to największa cnota.

Kapitan Szarych, Brzydki Dan, oślizgły drań, rzuca we mnie kamykiem. Choć jego skóra pociemniała od ekspozycji na słońce, włosy ma szare jak reszta jego Koloru. Zwisają mu smętnie nad oczami, bryłkami lodu obtoczonymi w popiele. Sigil jego Koloru, wijący się, szary symbol w postaci cyfry cztery z widocznymi obok kilkoma kreskami, oplata mu dłoń i nadgarstki. Jest okrutny i ponury, jak wszyscy Szarzy.

Słyszałem, że ściągnęli go tu z pierwszej linii frontu jeszcze z Eurazji – gdziekolwiek to jest – po tym, jak został kaleką, a oni nie chcieli kupić mu nowej ręki. W jej miejscu jest przestarzały substytut. Ma z tego powodu kompleks, a ja upewniam się, że widzi, jak zerkam na jego rękę.

- Zdaje się, że miałeś dziś ekscytujący dzień, kochanie. - Głos ma równie ciężki i stęchły, jak powietrze w moim skafandrze termicznym. - Odważny z ciebie koleś, Darrow. Zawsze wiedziałem, że zostaniesz bohaterem.

- To ty jesteś bohaterem - mówię, kiwając głową w stronę ręki.

- A tobie wydaje się, że jesteś mądrą, co?

- Tylko Czerwonym.

Mruga do mnie.

- Pozdrów ode mnie swoją małą ptaszynę. Dorodna z niej dziewczyna - mówi, oblizując wargi.

- Nigdy nie widziałem ptaka. Poza tymi na hologramie.

- Też mi coś - chichocze. - Chwila, dokąd to? - pyta, gdy się odwracam. - Ukłon dla lepszych od ciebie nie zaszkodzi, nie sądzisz? - Parska śmiechem w stronę swoich towarzyszy. Nie robiąc sobie nic z jego kpin, odwracam się i robię głęboki ukłon. Mój wuj widzi to i odwraca się z niesmakiem.

Zostawiamy Szarych za plecami. Nie mam nic przeciwko kłanianiu się, ale gdybym kiedykolwiek dostał szansę, prawdopodobnie poderżnąłbym Brzydkiemu Danowi gardło. Ale to zupełnie jakbym powiedział, że pojedę sobie na Wenus, jeśli będę miał taką zachciankę.

- Hej, Dago! Dago! - woła Loran do Helldivera Gamm. Facet jest chodzącą legendą. Reszta to tylko gwiazdy jednego sezonu. Mam szansę być lepszy od niego. - Co wyciągnąłeś?

Dago, blady strzęp pomarszczonej skóry ze złośliwym uśmieszkiem zamiast twarzy, zapala długiego papierosa i wydmuchuje chmurę dymu.

- Nie wiem - odzywa się, przeciągając sylaby.

- Daj spokój!

- Nie obchodzi mnie to. Surowy urobek się nie liczy, Lambda.

- Cholera, pewnie, że nie! Ile wyciągasz na tydzień? - pyta Loran, gdy ładujemy się do pociągu. Wszyscy zapalają papierosy i odkorkowują piwo. I uważnie słuchają każdego słowa.

- Dziewięć tysięcy osiemset dwadzieścia jeden kilo - przechwala się Gamma. Słyszac to, odchylam głowę i uśmiecham się. Młodsze Lambdy wiwatują. Starsi nie reagują w żaden sposób. Jestem zajęty zastanawianiem się, co Eo zrobi w tym tygodniu z cukrem. Nigdy wcześniej nie zdobyliśmy cukru. Kiedyś udało nam się wygrać go w karty. I owoce. Słyszałem, że dzięki Laurowi dostaje się owoce. Eo pewnie rozda wszystko głodnym dzieciom, choćby tylko po to, żeby udowodnić Elicie, iż nie potrzebuje ich nagród. Jeśli chodzi o mnie, zjadłbym owoce i bawił się w politykę z pełnym brzuchem. Jednak Eo ma pasję do wzniosłych idei, podczas gdy ja nie mam pasji do niczego prócz niej.

- I tak nie wygracie - mówi Dago, gdy pociąg rusza. - Darrow to młody szczeniak, ale wystarczająco bystry, żeby to wiedzieć. Prawda, Darrow?

- Młody czy nie, skopię twój pomarszczony tyłek.

- Jesteś pewny?

- Jak cholera. - Mrugam i posyłam mu całusa. - Laur jest nasz. Tym razem to ty będziesz musiał przysłać swoje siostry po cukier do mojego osiedla.

Moi przyjaciele śmieją się i klepią pokrywami skafandrów o swoje uda.

Dago obserwuje mnie uważnie. Po chwili zaciąga się głęboko papierosem, który jasno płonie i szybko się wypala.

- To ty - mówi. Po niecałej minucie z papierosa zostaje tylko popiół.

Po wyjściu z pociągu kieruję się do Oczyszczalni z resztą górników. Miejsce jest zimne, zatęchłe i cuchnie dokładnie tak jak trzeba: zatłoczonym, metalowym barakiem, w którym tysiące mężczyzn rozbierają się ze skafandrów po wielu godzinach sikania i pocenia się, żeby wziąć powietrzny prysznic. Jest ciemno. Na podłodze zalega brud. Ściany są popękane. W betonie widać szczeliny, w których gromadzą się ludzkie włosy i inne takie.

Zdejmuję skafander, zakładam czepek i idę nago do jednego z najbliższych przezroczystych cylindrów. W Oczyszczalni stoją ich całe tuziny. Szum silników i pogwizdywanie wypełniają to miejsce, gdy nadzy chłopcy i mężczyźni przepychają się między sobą w kolejce pod prysznic. Tutaj nie ma zabawy ani przechwałek. Łączy nas wspólne zmęczenie i ciche plaśnięcia dłoni o uda, tworzące rytym przy akompaniamencie świstu pryszniców.

Drzwi cylindra zamykają się za mną z sykiem, tłumiąc odgłosy muzyki. Ustrojstwo jest dość

zniszczone. Ziemia, fragmenty martwego naskórka oraz stare włosy pokrywają zaskorupiałą warstwą otwory na dole, gdzie wypływa powietrze. Odsuwam stopy od brudu, gdy maszyna uruchamia się. Z silnika wydobywa się znajomy szum, a po nim następuje ogromny nacisk atmosfery i jednostajna wibracja, gdy pełne antybakteryjnych molekuł powietrze wystrzeliwuje z góry i zalewa mnie, zrywając martwą skórę i brud, które znikają w odpływie na dnie cylindra. Boli jak cholera.

Później dołączam do Lorana i Kierana, którzy idą na Błonia pić i tańczyć w tawernach, zanim oficjalnie rozpocznie się Święto Lauru. Blaszkaci będą rozdawać przydziały na żywność i ogłaszają o północy, kto zdobędzie Laur. Tańce rozpoczną się przed tym i będą trwały później dla nas, którzy zeszliśmy z dziennej zmiany.

Legenda głosi, że bóg Marsa był ojcem łez, wrogiem tańców i zabawy. Zgadza się co do pierwszego. Lecz my z kolonii Lykos, jednej z pierwszych założonych pod powierzchnią Marsa, jesteśmy ludźmi tańca, pieśni i rodziny. Plujemy na legendę i sami tworzymy naszą historię. To jedyna forma oporu, jaką jesteśmy w stanie wymóc na Elicie, która nami rządzi. Dodaje nam to odrobiny charakteru. Nie obchodzi ich, że tańczymy i śpiewamy, o ile dalej posłusznie kłaniamy im się w pas. Tak długo, aż przygotujemy planetę do życia dla innych. Mimo to, żeby przypomnieć nam, gdzie nasze miejsce, jedna pieśń i jeden konkretny taniec są karane śmiercią.

Dla mojego ojca ten taniec był ostatnim. Widziałem to tylko raz. Pieśń również słyszałem tylko raz. Nie rozumiałem jej, gdy byłem mały. Mówiła o odległych dolinach, mgłę, zagubionych kochankach i żniwiarzu prowadzącym nas do naszego niewidocznego domu. Byłem mały i ciekawski, gdy kobieta śpiewała to, kiedy jej syna wieszano za kradzież żywności. Byłby wysokim chłopakiem, ale nigdy nie miał dość jedzenia, by rosnąć jak należy. Jego matka umarła następna. Mieszkańcy Lykos wykonali dla nich Pieśń Żałobną – tragicznie brzmiące uderzanie pięści o klatki piersiowe, cichnące powoli, aż w końcu pięści, tak jak jej serce, przestały bić.

Ten dźwięk prześladował mnie tamtej nocy. Płakałem samotny w naszej małej kuchni, zastanawiając się, dlaczego robiłem to wtedy, a nie w chwili, w której zginął mój ojciec. Leżąc na zimnej podłodze, usłyszałem ciche drapanie do drzwi mojego domu. Gdy je otworzyłem, w kupce czerwonej ziemi znalazłem mały pączek haemanthusa. Wokół nie było żywego ducha, tylko małe odciski stóp Eo. To był drugi raz, kiedy przyniosła kwiaty po czyjejś śmierci.

Skoro pieśni i tańce mamy we krwi, nikogo nie zdziwi moje odkrycie, że właśnie przez nie zakochałem się w Eo. Ale nie w małej Eo, tylko w Eo takiej, jaką jest teraz. Mówi, że kochała mnie, zanim powieszono mojego ojca. Dopiero w zadymionej tawernie, gdy jej rdzawe włosy wirowały w powietrzu, stopy poruszały się w takt melodii wygrywanej na cytrze, a biodra kołysały w rytmie bębnow, moje serce zamarło na moment. Nie chodziło wcale o jej piruety ani wygibasy, żaden z chępliwych wyglupów, które tak bardzo widać w popisach nastolatków. Jej ruchy były dumne i pełne wdzięku. Beze mnie nie miałyby co włożyć do ust. Bez niej nie miałbym po co żyć.

Może mi za to dokuczać, ale to ona jest dobrym duchem naszego ludu. Nasze życie nie jest usłane różami. To my mamy się poświęcić dla dobra mężczyzn i kobiet, których nie znamy. To my mamy przygotować Marsa dla innych. To sprawia, że część z nas staje się naprawdę nieprzyjemna. Ale dobroć, jaką emanuje Eo, jej radość, wola przetrwania, to najlepsze, co może pochodzić z domu takiego jak nasz.

Szukam jej w naszym osiedlu, oddalonym pół mili drogi tunelem od Błoni. Osiedle jest jednym z dwudziestu czterech innych otaczających Błonia. Konstrukcją przypomina ul, zlepek mieszkań wyciętych w skalnych ścianach starych kopalni. Kamień i ziemia są naszymi sufitami, podłogami, domem. Klan to wielka rodzina. Eo dorastała o rzut kamieniem ode mnie. Jej bracia są jak moi właścini. Jej ojciec jak ten, którego straciłem.

Płatanina elektrycznych przewodów łączy się ze sobą wzdłuż sklepienia jaskini jak dżungla czarnych i czerwonych lian. Z tej dżungli zwisają światła, kołysząc się łagodnie, gdy powietrze z centralnego systemu tlenowego Błoni krąży wokół. Na samym środku osiedla wisi masywny ekran hologramowy. To kwadratowe pudło z obrazami na każdej stronie. Piksele są wygaszone, a obraz niewyraźny, ale to urządzenie jeszcze nigdy nie miało awarii. Nigdy nie zostało wyłączone. Zalewa nasze ściśnięte domostwa swoim własnym bladym światłem. Nagraniami wideo od Elity.

Mój rodzinny dom jest wykuty w skałę sto metrów nad klepiskiem osiedla. Na ziemię prowadzi z niego stroma ścieżka, choć liny i wózki mogą zawieźć każdego jeszcze wyżej. Korzystają z nich wyłącznie starzy i niedołęzni. Jednych i drugich mamy niewiele.

Nasz dom ma tylko kilka pokoi. Dopiero niedawno Eo i ja mogliśmy wziąć jeden z nich wyłącznie dla siebie. Kieran i jego rodzina zajmują dwa, a moja matka i siostra zamieszkują pojedynczy pokój na piętrze.

Wszystkie Lambdy w Lykosie mieszkają w naszym osiedlu. Omegi i Upsilon zajmują kwatery minutę stąd, jeśli podążać szerokim tunelem prowadzącym na drugą stronę. Wszyscy jesteśmy połączeni. Poza Gammami. Oni mieszkają na Błoniach, ponad tawernami, warsztatami naprawczymi, sklepami z jedwabiem i bazarami. Błaszaki zajmują górującą nad nami wszystkimi fortecę blisko jałowej powierzchni nieprzyjawnego świata. To tam są porty, którymi sprowadzana jest z Ziemi żywność dla nas, porzuconych pionierów.

Hologram nade mną pokazuje trudy ludzkości, po których rozbrzmiewa wzniosła muzyka towarzysząca triumfowi Elity. Ich Sigil, złota piramida, z trzema równoległymi liniami łączącymi się z trzema stronami piramidy, wpisana w koło, ukazuje się na ekranie. Głos Octavii au Lune, podstarzałej Monarchini, opowiada o trudach, jakie ludzkość musi podjąć w celu kolonizacji pozostałych planet i księżyców Układu Słonecznego.

- Od czasu zmierzchu rodzaju ludzkiego nasza opowieść jako gatunku łączyła się niezmiennie z wojnami współplemieńców. Z próbą, poświęceniem, odwagą sprzeciwienia się narzuconym przez naturę ograniczeniom. Teraz, poprzez obowiązek i posłuszeństwo, jesteśmy zjednoczeni, ale nasza walka nie różni się od tamtej. Synowie i córki wszystkich Kolorów, znów zostaliśmy poproszeni o ofiarę. Tutaj, w tej oto godzinie, wysyłamy naszych najlepszych ludzi do gwiazd. Gdzie najpierw mamy zacząć się rozwijać? Na Wenus? Na Marsie? Księżycach Neptuna albo Jowisza?

Jej głos poważnieje, gdy spogląda na dół królewskim spojrzeniem. Grzbiety jej dłoni migoczą, ozdobione złotymi symbolami – kropką w centrum uskrzydłonego koła. Tylko jedna niedoskonałość zniekształca złocistą twarz – długa, sierpowata blizna biegnąca przez prawy policzek. Jest równie piękna, jak drapieżny ptak.

- Odważni Czerwoni pionierzy Marsa – najsilniejsi z rasy ludzkiej – poświęćcie się dla postępu, przecierając szlak przyszłym pokoleniom. Wasze życie, wasza krew są zapłatą za nieśmiertelność ludzkości, gdy przeniesiemy się poza Ziemię i Księżyc. Wy idźcie tam, dokąd my nie potrafimy. Cierpicie, żeby inni nie musieli cierpieć. Składam wam hołd. Kocham was. Helium-3, które wydobywacie, jest siłą napędową procesu terraformowania. Wkrótce Czerwona Planeta będzie miała powietrze nadające się do oddychania i glebę zdatną do uprawy. Niedługo, gdy Mars będzie się nadawał do zamieszkania, gdy wy, odważni pionierzy, przygotujecie planetę dla naszych pozostałych Kolorów, dołączymy do was i będziemy was obdarzać najwyższym szacunkiem pod niebem, które stworzyła wasza ciężka praca. Wasz pot i krew są siłą napędową terraformowania! Odważni pionierzy, zawsze pamiętajcie, że posłuszeństwo jest najwyższą z cnót. Ponad wszystko posłuszeństwo, szacunek, poświęcenie, hierarchia...

Kuchnia jest pusta, ale słyszę Eo krzątającą się w sypialni.

- Stój tam, gdzie jesteś! - rozkazuje przez drzwi. - Pod żadnym pozorem nie zaglądaj do tego pokoju.
- W porządku.

Zatrzymuję się.

Wychodzi po minucie, podenerwowana i zarumieniona. Włosy ma pokryte kurzem i pajęczynami. Przeczesuję dłonią ich gąszcz. Przyszła prosto z Pajęczarni, w której zbierają biojedwab.

- Nie byłaś w Oczyszczalni - mówię, uśmiechając się.
- Nie miałam czasu. Musiałam coś zabrać.
- Co takiego?

Uśmiecha się słodko.

- Nie ożeniłeś się ze mną dlatego, że wszystko ci mówię, pamiętasz? I nie wchodź do tamtego pokoju.

Rzucam się w stronę drzwi. Eo blokuje wejście i naciąga mi opaskę na oczy. Przyciska czoło do mojej piersi. Śmieję się, zdejmuję opaskę i chwytam żonę za ramiona wystarczająco mocno, żeby spojrzeć mi w oczy.

- Bo co? - pytam z uniesionymi brwiami.

Uśmiecha się tylko i przekrzywia głowę. Odsuwam się od metalowych drzwi. Bez mrugnięcia okiem potrafię wskoczyć do głębokiego tunelu. Ale są ostrzeżenia, które można zignorować, oraz takie, których nie można.

Eo staje na palcach i całuje mnie w nos.

- Dobry chłopak. Wiedziałaś, że łatwo cię będzie wyszkolić - mówi. Jej nos marszczy się, gdy wyczuwa woń poparzenia. Nie skacze nade mną jak nad jajkiem, nie krytykuje, nie mówi nic prócz zwykłego „kocham cię” z zaledwie śladem zmartwienia w głosie.

Wyciąga stopione kawałki skafandra z mojej rany, która ciągnie się od kłykci aż po nadgarstek, i bandażuje ciasno paskiem jedwabiu, nasączonym antybiotykiem i biopolimerem.

- Skąd to masz? - pytam.
- Ja nie będę cię pouczać, ty nie będziesz zadawał mi zbędnych pytań.

Całuję ją i bawię się cienką opaską splecionych włosów wokół jej palca serdecznego. Moje włosy połączone z kawałkami jedwabnych nici tworzą ślubną obrączkę.

- Mam dla ciebie niespodziankę - mówi.
- A ja mam jedną dla ciebie - odpowiadam, myśląc o Laurze. Zakładam swoją opaskę na jej głowę. Wygląda jak korona. Eo marszczy nos z powodu wilgoci.
- Och, cóż, właściwie to mam dla ciebie dwie, Darrow. Szkoda, że na to nie wpadłeś. Mógłbyś przynieść mi kostkę cukru albo satynowe prześcieradło, albo... może nawet kawę na pierwszy

prezent.

- Kawę! - Wybucham śmiechem. - Jaki Kolor wydaje ci się, że poślubiłaś?

Eo wzdycha.

- Żadnego pożytku z Helldivera, zupełnie żadnego. Szalony, uparty, narwany...

- Zręczny? - pytam z diabelskim uśmieszkiem, przesuwając dłoń w górę po jej spódnicy.

- To chyba ma swoje zalety. - Uśmiecha się i odpędza moją rękę jak pająka. - A teraz zakładaj rękawiczki, jeśli nie chcesz, żeby kobiety zaczęły trajkotać. Twoja matka zdążyła już wyjść.